# ŚWIADECTWO CZŁOWIECZEŃSTWA

Co w kontekście „Przesłania Pana Cogito" oznacza „być człowiekiem"? Otóż o pełni człowieczeństwa decyduje postawa moralna, w której jest miejsce na afirmację życia, nieugiętość, nonkonformizm, niezgodę na poniżanie człowieka. Poprosiłam o wywiad – danie świadectwa – nie osobę powszechnie znaną, lecz moją sąsiadkę – Panią Martę Rosyk, owdowiałą żonę szlachetnego i prawego Człowieka – Mieczysława Rosyka.





***A. J.: Dzień dobry, Pani Marto. Przez moje okno w sypialni widzę stary dom, przed którym na wiosnę kwitną magnolie. Moja mama i babcia opowiadały mi o Pani mężu – Mieczysławie Rosyku. Mówiły, że był to bardzo prawy i miły człowiek – chirurg, który zawsze pomagał potrzebującym. Postanowiłam poznać Państwa historię.***

**M. R.:** Z przyjemnością opowiem ci, dziecko, jakie mieliśmy z mężem życie.

***Państwa młodość przypadła na trudny czas okupacji. Gdzie mieszkaliście, gdy wybuchła wojna?***

Do 1943 r. mieszkaliśmy we Lwowie, w domu, w którym przez 30 lat mieszkali moi teściowie.

***Jakie były realia życia w okupowanym Lwowie?***

To jest takie trudne do zrozumienia, że się wychodziło do miasta, żeby coś kupić i nigdy nie wiedziało się, czy nie złapią, postawią pod murem i nie rozstrzelają. Te łapanki były okrutne. Za dużo przeszłam i tego chowania się, i uciekania, i braku jedzenia. Wszystko było straszne. Pewnego dnia matka mojej pomocnicy przyszła i mówi: *„Oj, panie doktorze, źle się dzieje, bo już 8 km stąd zamordowano księdza. Uważajcie."* I dlatego my wtedy przygotowaliśmy siekiery i kamienie, żeby się bronić. Pomocnica powiedziała, że to byli banderowcy. Teraz, jak to sobie przypomnę, to nie do opisania strach.

***A dokąd udawaliście się Państwo podczas bombardowania?***

We Lwowie jak było bombardowanie, powoli gasło światło. To ja synka na ręce i do piwnicy. Ja raz wzięłam powleczoną do piwnicy pierzynę i w nią owinęłam tego dzieciaka. W pewnym momencie teść poszedł z piwnicy na górę zobaczyć, co się dzieje, ale taki podmuch był, że zleciał z tych schodków na dół. Na szczęście nic mu się nie stało. Raz podczas nalotu przylecieli po męża, bo rodzi kobieta, wobec tego poleciał mąż do tego porodu w sąsiedztwie. No, ale już porodziła, i mówił, że wielkie miała szczęście, że tę pępowinę przygniotła sama pośladkiem, że nie doszło, zanim on przybiegł, do krwotoku, że można było pępowinę zacisnąć i odciąć, że się jakoś tak szczęśliwie skończyło.

***We Lwowie mieszkaliście Państwo do 1943 r. Dokąd udaliście się później?***

Psychicznie nie wytrzymywałam tych ciągłych bombardowań i mąż wywiózł mnie do Czchowa nad Dunajcem. Tam mieszkaliśmy do 1945 r. Jak w Czchowie byliśmy, to już też mąż pracował jako lekarz. W nocy wychodził do lasu – pomagał jako chirurg, zaopatrywał, jak się dało. Kiedyś powiedział: *„Musiałem człowiekowi w jego kuchni na stole amputować rękę, bo miał tak rozszarpaną"*. Mimo że byli Niemcy, że był po więzieniu, a jednak dalej pracował. W nocy chodził w las – aż do wyzwolenia Oświęcimia.

***Pani mąż pomagał partyzantom, ale i Pani wiele razy narażała swoje życie. Czy mogłaby Pani przypomnieć jedną z takich sytuacji?***

Takie to czasy były, że nie dość, że trudno było coś dostać, to jak się dostało, to się nieprzyjemności miało. W ogóle życie było takie dziwne…ja ciągle w takim strachu, żeby czegoś nie powiedzieć, a może ktoś coś usłyszy… Zamiast zdawać maturę (bo to wtedy przyszli Sowieci), to ja jeździłam pociągiem i woziłam na przykład blankiety dowodów osobistych przedwojennych. To wpierw tato mój musiał to zdobyć, ja to brałam, ktoś brał pieczątki i jeździliśmy do Lwowa. Zajeżdżałam do domów, których ja zupełnie nie znałam ani nazwiska, tylko podany adres – tam się zanosiło, a oni to potrzebującym dawali. Kiedyś jechałam pociągiem 90km. Taki tłok był, że ja na tych schodkach (w starych pociągach) jechałam. Mróz, zima, styczeń, potem ludzie mnie wciągnęli na platformę. I jak dojechałam do tego domu, gdzie miałam to zawieźć, to gosposia nie wiedziała, jak mi ma rozcierać nogi, bo zupełnie skostniały. Ale się pracowało i miało się zadowolenie, że się ratuje ludzi… To były bardzo ciekawe, ale ciężkie czasy…

***Czchów, o którym wcześniej Pani wspomniała, nie był ostatnim miejscem Państwa pobytu. Kolejnym był Tarnów. Czy zaznaliście tam choć trochę spokoju?***

Spokoju niewiele, za to grozy dużo. Pewnego dnia męża mojego zabrało gestapo. Też przeżycie straszne. Przyszli o świcie. Weszli i zaczęli rewizję całego domu. Mąż i ten komendant AK – na podłogę, twarzą do podłogi. Mąż chciał pić, ja mówię: *„Podam mu."* Nie, nie można. Więc ja chochlą mu wodę podałam – tak leżącemu na podłodze, bo nie mógł ani rąk, ani nóg wyciągnąć. Dałam pić, a oni rewidowali. Wszędzie z szaf wszystko wyrzucili na ziemię. A ja miałam 5 dolarów. Jak ktoś miał dolary, to śmierć za to. Za młoda byłam, nierozsądna i te pięć dolarów pod dziecko wepchałam, bo on spał. To było koło 4 rano. Wszędzie szukali, wszystko wyrzucili, ale dziecka nie ruszyli. A później sobie pomyślałam: *„Boże, gdyby znaleźli, to i mnie, i dziecko by rozstrzelali."* Wcześniej piekłam w piecu i ciasto nakryłam papierami i jak zobaczyli te papiery, to zaczęli strasznie grzebać – czy to nie dokumenty. Ja na szczęście nie wiedziałam, że tam były dokumenty, a były, bo przyszły z Londynu jakieś różne wiadomości, dokumentacja. Dopiero na drugi dzień gospodyni, która u tych właścicieli pracowała, pokazała mi, gdzie są dokumenty zamurowane. Takie od Sikorskiego były przesyłane – na szczęście nie znaleźli. Ale męża wyprowadzili. Widziałam, jak idzie tych dwóch – mąż i ten komendant.

***W takich trudnych momentach zwracamy się często do Boga o wsparcie. Czy Pan Mieczysław był osobą wierzącą?***

O, tak – wierzącą i praktykującą. Przypomniała mi się ciekawa historia. Gdy męża wzięło gestapo, to ja z takim trzyletnim synkiem chodziłam na spacery na taką górkę. Tam stała taka starsza pani z wnuczką i tak do mnie mówi:, *„Czemu pani taka młoda, a taka smutna?"* Ja mówię: *„Ja tutaj właściwie nikogo nie znam, a męża mi aresztowało gestapo."* A ona jakoś tak mówi: *„A czy pani modliła się kiedyś do św. Judy Tadeusza?"* Ja mówię: *„No, nie, ale poszczę, właśnie w tej intencji"*. A ona mówi: *„To proszę jutro tutaj przyjść, ja pani przyniosę nowennę do św. Judy Tadeusza. On jest od bardzo trudnych spraw"*. Niezbyt wierzyłam, ale poszłam na drugi dzień i dała mi taką starą już używaną książeczkę do św. Judy Tadeusza, którą mam do dzisiaj. Gdy mąż wrócił z więzienia, to mówię mu: *„Wiesz, dostałam nowennę – to św. Juda Tadeusz ciebie wyratował."* A on mówi: *„Wiesz co, nie wiem skąd, ale do celi więziennej ktoś też nam dostarczył tę nowennę i myśmy w więzieniu też odmawiali"*. Niesamowite, że w więzieniu, jak zaczęli dzielić więźniów, męża dali do tej grupy, która wychodzi. A mąż uważał, że na pewno idzie na rozstrzelanie.

***Czy te trudy zakończyły się wraz z końcem wojny? Jak potoczyły się dalsze losy Państwa?***

Z Tarnowa pojechaliśmy do Katowic. W szpitalu górniczym mąż legalnie do pracy się zgłosił. I to był czas końca pracy podziemnej mojego męża. Później zajął się już tylko chirurgią. Od 1946 r. mieszkaliśmy w Kłodzku. Mąż wygrał tam konkurs na ordynatora. Dostaliśmy mieszkanie z pełnym na początku wyżywieniem. No i mąż musiał objąć dyrekturę, czego nie chciał. Po pewnym czasie poszedł do księdza (to był szpital kościelny) i powiedział, że mu to przeszkadza, że jemu za dużo czasu zajmuje ta dyrektura i zrzeka się jej. No i tam byliśmy, w tym Kłodzku, 14lat!

***A jaki był stosunek Pani męża do pracy, pacjentów?***

To teraz może wyjdzie na chwalenie się, ale będąc w Kłodzku, a mąż jeszcze bardzo młody był, to nie bał się operować – operował wszystko – żołądki, struny (wola), rozczep podniebienia u dzieci. U niego uczył się późniejszy doktor Klaus, doktor Protochwil! Mąż miał bardzo dużo zabiegów – śledzionę operował, czego się zazwyczaj nie robi. I potrafił mieć po osiem operacji dziennie, trudnych zabiegów, a ponieważ był to szpital kościelny, to czasem się zdarzało, że zakonnica dzwoniła do mnie i mówiła: *„Proszę panią, proszę zabrać pana doktora do domu, bo już ma sine usta"* – czyli taki niedotleniony był, ale jeszcze coś robił…

***Ostatni przystanek – Nysa. Jak wspomina Pani pobyt w tym mieście?***

Mąż pracował w Nysie od 1960 r., ja dopiero zamieszkałam tu w 1961 r. Tutaj też dużo operował – pacjenci przyjeżdżali nawet z Kłodzka, bo pamiętali, że nikomu nie odmówił pomocy. Jeszcze w Nysie długo były spotkania dawnych partyzantów, trzeba było fałszować w życiorysie, gdzie pracował, z kim, jak, że pracował w podziemiach. To nie byłoby mile widziane, nie byłoby w ogóle widziane! To były takie dziwne, ciężkie czasy – zdobywanie jedzenia. Pewnego dnia nawet męża wzywano do Warszawy, do tego sądu lekarskiego, że dostał dwie kaczki (a wcale tych kaczek nie dostał nigdy, ale ktoś tak fałszywie doniósł – może z zazdrości czy co) no i taka rozprawa była, ale uniewinnili, na szczęście. Bardzo mi go brakuje, bo to i mąż i lekarz… Nie krępował się prosić specjalistów o pomoc. Żeby więcej takich było…

Bardzo dziękuję Pani za rozmowę. Uświadomiła mi ona, że nie zdajemy sobie sprawy, iż ludzie, którzy mieszkają obok nas – cisi, skromni, eleganccy – mogą być tak wielkimi ludźmi. Ludźmi, którzy są wierni swoim ideałom; ludźmi, którzy czynią wiele dobrego dla świata; ludźmi, którzy mają odwagę płynąć pod prąd. Takich jak Pan Mieczysław Rosyk.

*A. J.*

Od Redakcji:
**Mieczysław ROSYK**:
30 czerwca 1909 r. – 4 listopada 2002 r.

**Maria ROSYK**: 31 stycznia 1923 r. – 28 stycznia 2017 r.
Wywiad został przeprowadzony na przełomie lat 2014/15 i w takiej formie został zgłoszony w 2015 r. do konkursu literackiego „Płynąc pod prąd"